

– Nie kojarzy ci się to z czymś?
– Hmm, masz na myśli Deralonów?
– OCZYWIŚCIE, ŻE TAK!!! – wybuch mamy kompletnie mnie zaskoczył. Najwyraźniej Filipa też, bo omal nie wszedł na wrak.
– Ależ kochanie, niby dlaczego to mieliby być oni?
– Dobrze to wiesz.
– To nadal żaden dowód.
– Skoro tak, to trudno. Nie wierzysz mi, zgoda, więc. . . wracamy do domu!

– Ale ten wrak. . .

Mama machnęła Kijem, mrużąc coś pod nosem, i wystrzelił z niego trwający trzy sekundy srebrzysty promień, który szybko rozwalili resztki płonącego myśliwca. Kolejne machnięcie Kijem i znikąd zaczął padać drobny deszczyk, gaszący płomienie. Tata skrzywił się z niesmakiem.

– Nie lubię, kiedy to robisz.

– Wiem. Chodźcie.

Byłem w połowie drogi do domu, gdy nagle potknąłem się o coś szklanego. Podniosłem to i przyłożyłem do oczu. Wewnątrz przejrzystej szkatułki płonął mały płomyk, niewytwarzający dymu. Z zaciekawieniem patrzyłem jeszcze chwilę, po czym pobiegłem z pudełkiem do domu.

Przez następny tydzień próbowałem dowiedzieć się, do czego ta szkatułka może służyć. Na razie bezskutecznie.

Pewnego późnego sobotniego wieczora poszedłem na małą polankę otoczoną drzewami. Patrząc na klucz ptaków przelatujących nad domem, wyciągnąłem szkatułkę. Najpierw oddałem się obserwacji. Fascynował mnie ten płomień, płonący sam z siebie. Następnie sprawdziłem, czy szkatułkę da się otworzyć. Bez skutku. W końcu z braku innych pomysłów wystawiłem ją na słońce, lecz i to nic nie dało. Zawiedziony, schowałem szkatułkę i już miałem odejść, gdy nagle poczułem się. . . dziwnie. Jakbym osłabł. Nagle i niespodziewanie – zemdlałem.

Gdy się ocknąłem, było już prawie ciemno. Widać było jedynie czerwoną tarczę zachodzącego słońca. Powoli, chwiejąc się, wsta-

łem. Zacząłem układać wspomnienia. Sięgnąłem po szkatułkę, kiedy okazało się, że zniknęła! Zacząłem rozglądać się dookoła. Po dwóch minutach znalazłem jednak zgubę. Chcąc sprawdzić, czy ze szkatułką wszystko w porządku, obejrzałem ją i zachłysnąłem się powietrzem. Cały bok miał ślady pazurów! Jak to możliwe, że szkatulka, która spadła na ziemię w płonącym wraku i wytrzymała to bez skazy, teraz jest prawie doszczętnie zniszczona?!

Zacząłem się bać. Gdzieś tu musi być coś potrafiącego zniszczyć nawet tytan. Uciekłbym pewnie, gdyby nie chłodna logika, która wkroczyła do akcji.

Przecież to coś mnie nie zabiło. Z pewnością mogło. Widać nic mi nie grozi.

Niestety, gdy człowiek prawdopodobnie stoi w obliczu śmierci, chłodna logika ustępuje miejsca przerażeniu.

A to z kolei ustępuje miejsca niezdrowej ciekawości. Zobaczyłem bowiem, że szkatułkę da się już otworzyć.

Sięgnąłem do wyszczerbionej ramy i delikatnie pociągnąłem za nią. Otworzyła się.

Wybuch był wprost nie do opisania. Najpierw (i na szczęście) odepchnął mnie od pudełka podmuch gorącego wiatru. Potem nastąpiła eksplozja i wszystko stanęło w płomieniach. W akcie desperacji rzuciłem się na pudełko i je zamknąłem.

Wszystko nagle ucichło. Płomienie się wypaliły, a drzewa, wcześniej spalone, szybko się zazieleniły. Przez chwilę myślałem, że coś mi się przywidziało, ponieważ ogień w pudełku płonął jak wcześniej.

– No, teraz to już wierzę, że to, co napisali w tym liście, to nie był żart.

Na skraju polanki stał, trzymając jakiś papier, Łurk. Nie było już wątpliwości, że nic mi się nie przywidziało.

Rozdział 2

Acer i Varian

Uśmiechnąłem się serdecznie. Mimo tego, co przeżyłem, nie mogłem się nie cieszyć z powiadomienia Łurka o istnieniu Res-mirów. Miałem już dosyć ukrywania przed nim prawdy.

– Jak cię powiadomili? – spytałem.

– Kto? Res-mirowie? Zobacz.

Łurk podsunął mi kopertę pod nos. Na wierzchu widniało godło Emjon – czarna, ostro zakończona tarcza, o srebrnych krawędziach ze złotymi gwiazdkami. Środek tarczy zajmowała podwójna złota gwiazda, na niej z kolei błyszczał płomień z kroplą wody w środku.

Zmarszczyłem brwi.

– Listem? Myślałem, że użyją raczej nuntiusa do projekcji holograficznej.

– Kogo?

– Nieważne. Powiedz, jak zareagowałeś na list? Zawsze chciałem zobaczyć twoją pełną niedowierzania minę w chwili ujawniania sekretu. Pewnie nie chciałeś w to uwierzyć, co?

– Ano. Na początku myślałem, że to żart, lecz patrząc na ten twój wybuch, teraz jestem skłonny uwierzyć w tę historijkę.

– Zaraz... A właściwie skąd wiesz o tym, że ja jestem Res-mirą?

– W liście napisali, kto mi może pomóc się przyzwyczaić do nowej prawdy.

Choć chwilę po naszej rozmowie Łurk musiał już wrócić do domu, to w moim sercu rozbrzmiewała radość jeszcze przez wiele godzin. Naprawdę miałem dość ukrywania przed nim prawdy.

Następnego dnia obudził mnie jakiś hałas. Sprawdziłem, czy szkatułka nadal leży w mojej skrytce, i poszedłem do pokoju Filipa. Okazało się, że gra sobie w najlepsze na komputerze.

– Zwariowałeś? Tak wcześnie rano i bez pytania? – zacząłem.

– Po pierwsze, jest już dziewiąta, po drugie, dziś jest pierwszy dzień wakacji, a po trzecie, już się pytałem, z widocznym teraz skutkiem.

– Aha... – odparłem sennie. – No, to idę się obudzić.

– To jeszcze się nie obudziłeś? – uśmiechnął się Filip.

– Bardzo śmieszne... – po tych słowach postanowiłem orzeźwić się lemoniadą, której mieliśmy w lodówce spory zapas.

– Nasz śpiący królewicz się obudził! – usłyszałem głos z pokoju rodziców.

– Jeszcze nie do końca, ale tak – odparłem.

– No to odśwież się, przebierz i możesz sobie pograć – powiedziała mama. – A po śniadaniu ktoś do ciebie przyjdzie.

Uniosłem brwi, zdziwiony, ale nie kontynuowałem tematu.

W spiżarni panował jak zwykle bałagan. Tylko dwie na trzy półki były tam, gdzie ich miejsce, torby walały się po podłodze, kalendarz ledwo wisiał. Cóż – totalna demolka. Na szczęście lodówka stoi jak stała. Wziąłem dwie lemoniady i poszedłem do pokoju. Mój pokój jest jak każdy inny. Mam w nim biurko, komputer (oczywiście Res-mirów), lampę na biurku, regały z książkami, szafę, łóżko, szafkę nocną, lampę na niej, półki na wszelkie inne rzeczy i tak dalej.

Po śniadaniu zapytałem, kto ma do nas przyjść.

– Pamiętasz – rzekła łagodnym tonem mama – gdy byłeś młodszy, wspominałam ci, że zanim pójdziesz do Emjon, przyjdzie do ciebie jej przedstawiciel i wprowadzi cię głębiej w nasz świat. To właśnie ten dzień. Idźcie z Filipem do twojego pokoju i zaczekajcie tam na gościa.

Usiedliśmy razem na kanapie i czekaliśmy. Słysząc było z dołu, że ktoś wszedł i zaczął rozmowę z moimi rodzicami. Rozmawiali tak przez jakiś czas, po czym wreszcie nieznajomy przyszedł do nas. Był wysoki i dosyć tłuściutki, oczy miał czarne, włosy koloru blond, a mięśnie całkiem spore. Ubrany był w skórzaną czarną kurtkę, czarne grube buty i skórzane brązowe spodnie.

– Plutonie, Filipie. Nazywam się McDegun. Wiem, że macie mnóstwo pytań, ale będę wam na nie odpowiadał po kolei.

Cisza...

– Jak już mówiłem, macie pewnie mnóstwo pytań, więc wy zaczynajcie rozmowę – nakazał McDegun.

– Przesadził pan trochę, myśląc, że mamy mnóstwo pytań. W zasadzie to nie mamy żadnego – wybąkał Filip.

– Żadnego?

– No, właściwie to chciałbym się dowiedzieć, kim są Deraloni – odrzekłem, zamyślając się przez chwilę przy słowie „Deraloni”. Nie spodziewałem się gwałtownego wybuchu ze strony McDeguna.

– SKĄD O NICH WIESZ?!

– Noo... Słyszałem kiedyś, jak rodzice o nich mówili.

– Aha. No, to skoro słyszałeś o nich, to pewnie i tak nie ma sensu wmawiać ci, że to nieprawda. Słyszeliście kiedyś o mężczyźnie imieniem Januarius?

– Nie.

– Tak myślałem. Właściwie niewielu wie o nim więcej niż ja. A ja znam tylko jego imię i to, do czego dąży.

– A do czego dąży?

– Och, chciałby władać wszechświatem. Prowadzi wojnę z niemal wszystkimi, a jego doborowe oddziały zwą się właśnie Deraloni.

– Wojnę?!?

– Taa. Paskudna sprawa, nie?

– Dlaczego o tym nie wiemy?

– Gdybyście wiedzieli, że jesteście Var... eee ładna pogoda, prawda? – zmienił temat McDegun, ale mimo to Filip natychmiast zorientował się w sytuacji.

– Co pan chciał powiedzieć?!

– Z pomostu?

– Tak.
– No i dobra. Dobrze, że to wy zaczęliście ten temat, nie ja.
– Przecież...
– No dobra, dobra, nieważne. Bądźcie tylko spokojni. To chyba nie będzie bolało. Uznaliśmy, że już dorośliście do pewnej rzeczy. A jak nie, to trudno.

Po tych słowach wyjął z zewnętrznej kieszeni skórzaney kurtki buteleczkę z niebieskim płynem i mówiąc, że to odtrutka, kazał nam wypić po połowie, podając mi buteleczkę. Filip proponował, aby on to pierwszy wypił, lecz ja mu powiedziałem, żeby był spokojny i... wypilem połowę zawartości butelki. Nagle wokół mnie zaczęły wirować niebieskie strugi światła. Upadłem, zaczęło mnie mdlić i wszystkie kości dały o sobie znać. Z trudem popatrzyłem na bok i zobaczyłem, że Filip przeżywa coś podobnego. Przez chwilę tak się dalej działo i nagle... wszystko ustało. Lecz kiedy spojrzałem na swoje ręce, odkryłem, że się bardzo zmieniły! Były obrosnięte ciemnogrnatowym futrem, bardziej chwytlive, a na końcu palców pojawiło się coś w rodzaju krótkich, szarych pazurów!

– Z resztą twojego ciała jest podobnie – rzekł lekko zmieszany McDegun.

Istotnie, cały obrosłem ciemnogrnatowym futrem, miałem wilczą twarz i dziwną chęć do chodzenia na czworakach! Wyglądałem jak wilkołak! Spróbowałem wstać i mimo że mi się udało, to w tej pozycji czułem się niepewnie. Potem stanąłem na czworakach i było mi bardzo wygodnie. Po chwili zauważyłem, że moje nogi i ręce są takiej samej długości (i były długie na jakieś dziewięćdziesiąt centymetrów). Urósł mi także ogon.

– Teraz jesteś szybszy od psa wyścigowego.
– O co tu chodzi?! – zapytałem mocno zdziwiony i zaskoczony. Odnotowałem też zmianę głosu, który brzmiał mocniej i posiadał więcej basu. Dało się też wyczuć delikatne echo moich słów zawisaające w powietrzu. Gdyby ktoś mnie mógł rozpoznać tylko po głosie, to nie wiedziałby, kim byłem przed zmianą.

– Pozwól, że wam wyjaśnię, jednak dopiero jak to wypijecie – to mówiąc McDegun z wielką szybkością i niezwykłą zwinnością wlał nam obu do gardła zieloną miksturę. Nie minęło wiele czasu,

gdy błysnąłem porażającym światłem i po tarmoszeniu mnie we wszystkie strony, zmęczony padłem na ziemię. Ale wyglądałem jak człowiek.

– Jeszcze nie umiecie panować nad sobą, kiedy jesteście Varianami – wyjaśnił McDegun.

– Przepraszam, kiedy KIM jesteśmy? – wyrzucił z siebie Filip.

– Varianami – westchnął McDegun. – Bardzo rzadko spotykamy istoty, bardzo tajemniczymi, znającymi różne tajne sztuczki i tak dalej. Wasza matka też nim była.

– To ma być żart?! To przecież niemożliwe!

– W żadnym wypadku. No... to może zmienimy temat?

– Dobrze – dałem za wygraną, ale głównie dlatego, że musiałem przemyśleć swoje położenie. Nawet wypowiedzenie tego słowa kosztowało mnie pięć minut. – Chciałbym zapytać, gdzie się znajduje szkoła Emjon.

– Chętnie bym ci to powiedział, ale... sam tego nie wiem. Jest gdzieś na terenie objętym zasłoną czyniącą go niematerialnym dla każdego nie-Res-mira i rzeczy martwej, żeby Normalniacy jej nie znaleźli, więc tylko kilka osób wie, gdzie to dokładnie jest. Ale prawie na pewno gdzieś w Europie. Dalej. Dostaniecie ode mnie specjalną wodę. Co tydzień trzydzieści pięć litrów i musicie ją pić. Varianie w waszym wieku do opanowania samych siebie piją dziennie tylko cztery litry, ale wy powinniście pić pięć.

– Nigdy tyle nie wypijemy – zauważył Filip.

– Spoko, wypijecie – po raz pierwszy uśmiechnął się McDegun. – No, dobrze, to chyba wszystko. Spotykamy się jutro o piętnastej, tutaj, w piątkę, razem z Tik i Łurkiem. A, nie mówcie nikomu, kim naprawdę jesteście, chyba się domyślacie, czemu?

– Niech zgadnę, bo wszyscy urządzają na nas polowanie, ponieważ jesteśmy... eee... niezbyt mile widziani, tak? Ale jak się zdradzimy w jakiś sposób?

– A według was jestem człowiekiem?

– Jasne.

– I widzicie? A jestem demonem! – zaśmiał się McDegun. Wychojąc, podał nam buteleczki z wywarem przemiany w człowieka i odtrutką.

Filip był troszkę przygaszony. Ja sam nie odczuwałem ulgi po odpowiedziach McDeguna na moje pytania – przeciwnie, kłębiła mi się w głowie jeszcze większa ich ilość, a górowało wśród nich pytanie pod tytułem: „Dlaczego nikt mi nie powiedział, kim jestem?”. Zamknąłem się w swoim pokoju, myśląc o tym, co się działo w ostatnich dniach. Nie byłem zły na rodziców, że mi o tym nie powiedzieli – niezależnie od powodu zatajania przede mną tej informacji, na pewno musiało się tak po prostu stać... W końcu gdy byłem młodszy, mogłem powiedzieć o moim nowym sekrecie komuś, kto nie powinien był tego usłyszeć. Otworzyłem liścik od McDeguna. Miałem nadzieję, że napisał tam coś pocieszającego, lecz zawierał jedynie wskazówki i jakąś listę:

Szanowni Państwo! Mam radość i przyjemność Państwa poinformować, iż Pluton Xsint został przyjęty do Emjon. Wszystkie procedury dolotu do Emjon oraz regulamin szkoły znajdują się w załączniku.

Pragnę jednak przypomnieć Państwu o ewentualnym ryzyku uszczerbku na zdrowiu nowego adepta. Wprawdzie rzeczony adept spełnia wymagania zarówno fizyczne, jak i umysłowe konieczne, aby móc dostać się do szkoły, jednakowoż niczego nie możemy być pewni i w razie wypadku gwarantujemy fachową i dokładną opiekę nad adeptem.

Niżej zamieściłam listę koniecznych książek szkolnych. Oczywiście adept musi także posiadać własny Kij. Spis innych koniecznych przedmiotów i szat znajduje się w załączniku.

Księgi:

1. „Standardy” (tom 1) Franka Broadweya
2. „Kij i moc” Wenga Chrama
3. „Wywołania, których nie znasz” Marka Wenela
4. „Trochę ognia i praktyki” Randala Psychicznego
5. „Wzory kosmosu” Chinga Chonunga
6. „Teoria praktyki” Ivana Axetorch
7. „Co rośnie w twojej doniczce” Sary Getron
8. „Włochate lub pełne łusek” Kingi Włodarskiej